

ROK

1994

NOWE
TŁUMACZENIE!

ILUSTRACJE:
MICHAŁ WRĘGA „SEPE”

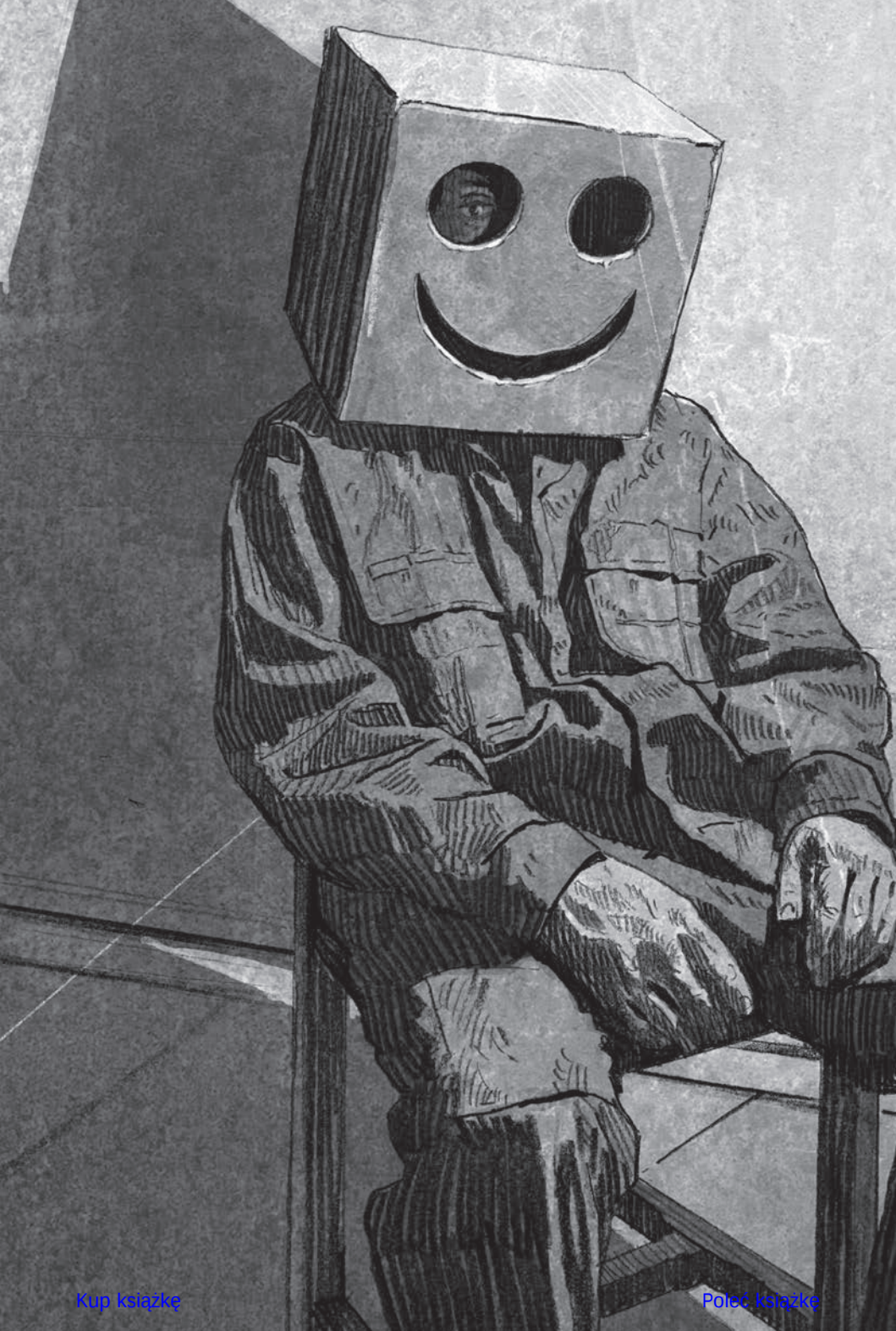
PRO

GEORGE
ORWELL

SPIIS TRE

ści

CZĘŚĆ 1.	— 6
CZĘŚĆ 2.	— 146
CZĘŚĆ 3.	— 316
DODATEK	— 426



CZĘŚĆ 1.



Był jasny i zimny kwietniowy dzień, a zegary wybijały trzynastą. Kuląc się przed przenikliwym wiatrem, Winston Smith przecisnął się przez szklane drzwi do Bloku Zwycięstwa, nie dość szybko jednak, by powstrzymać piaszczysty podmuch, który wdarł się do środka wraz z nim.

Korytarz cuchnął gotowaną kapustą i starymi wycieraczkami. W jego głębi wisiał kolorowy plakat, przesadnie duży jak na ciasnotę wnętrza. Widniała na nim tylko wielka, ponad metrowej szerokości twarz; przystojne, surowe oblicze mniej więcej czterdziestopięcioletniego mężczyzny z sumiastym czarnym wąsem. Winston skierował się w stronę schodów. Próba skorzystania z windy nie miała sensu. Nawet w najlepszych czasach winda rzadko działała, teraz zaś w ciągu dnia wyłączano jej zasilanie

w ramach cięć związanych z przygotowaniem do Tygodnia Nienawiści. Mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze, a Winston, który miał trzydzieści dziewięć lat i wrzodziejące żyłaki nad prawą kostką, wchodził po schodach wolno, odpoczywając po drodze kilka razy. Na każdej kondygnacji ze ściany na wprost szybu windy spoglądał ten sam plakat z ogromną twarzą. Był to jeden z tych przemysłowych portretów, które zdają się śledzić każdy ruch. Podpis głosił: **WIELKI BRAT PATRZY**.

W mieszkaniu dźwięczny głos recytował dane, które miały jakiś związek z wytopem surówki. Dobywał się z podłużnej, przypominającej matowe lustro metalowej tafli, tworzącej jednolitą powierzchnię ze ścianą po prawej stronie. Winston pstryknął przełącznikiem i głos nieco przycichł, lecz nadal dawało się rozróżnić poszczególne słowa. Urządzenie to, zwane teleekranem, można było ściszyć, ale nie całkowicie wyłączyć. Mężczyzna podszedł do okna: drobna, mizerna postać, której wątość podkreślał granatowy uniform, ubiór członka Partii. Miał bardzo jasne włosy, naturalnie zarumienione policzki i skórę szorstką od marnego mydła, tępych żyłek i mrozów niedawno minionej zimy.

Świat zewnętrzny sprawiał wrażenie zimnego nawet przez zamknięte okno. W dole, na ulicy, pył i skrawki papieru wirowały w lekkich podmuchach wiatru, a pomimo jaskrawego słońca i chłodnego błękitu nieba wszystko zdawało się wyprane z barw, z wyjątkiem porozklejanych wszędzie plakatów. Czarnowase oblicze wyzierało z każdego wyeksponowanego miejsca. Jedno znajdowało się na fasadzie domu dokładnie naprzeciwko. **WIELKI BRAT PATRZY** — oznajmiał napis, a ciemne oczy świdrowały zre-

nice Winstona. Niżej, na poziomie ulicy, kolejny plakat z oderwanym rogiem niespokojnie trzepotał na wietrze, na przemian zasłaniając i odkrywając jedno słowo: **ANGSOC**. W oddali śmigłowiec przemknął w dół między dachami, zawisł na chwilę niczym ogromna mucha, po czym nagle poderwał się i odleciał łukiem. Był to policyjny patrol, zaglądający ludziom w okna. Ale patrole były niczym w porównaniu do Policji Myśli.

Za plecami Winstona głos z teleekranu niestrudzenie paplał o surowce i przekroczeniu Dziewiątego Planu Trzyletniego. Teleekrany potrafiły jednocześnie odbierać i nadawać. Wychwytywały każdy dźwięk głośniejszy od cichego szeptu; co więcej, dopóki Winston znajdował się w polu widzenia metalowej tafli, mógł być nie tylko słyszany, ale też podglądany. Oczywiście nigdy nie było wiadomo, czy w danej chwili jest się obserwowanym. Można się było jedynie domyślać, jak często i wedle jakiego schematu Policja Myśli podejmuje decyzje o inwigilowaniu konkretnych jednostek. Niewykluczone, że obserwowwała wszystkich przez cały czas. Jedno było pewne — mogła podpatrywać każdego, kiedy tylko chciała. Należało więc żyć — i żyło się z przyzwyczajenia, które przerodziło się w zwierzęcy instynkt — z przeświadczeniem, że słyszy każdy dźwięk i uważnie śledzi każdy ruch, jeśli tylko akurat nie jest całkiem ciemno.

Winston stał tyłem do teleekranu. Tak było bezpieczniej, choć dobrze wiedział, że nawet plecy mogą dużo zdradzić. Kilometr dalej znajdowało się Ministerstwo Prawdy, jego miejsce pracy, potężny biały gmach górujący nad ponurym krajobrazem. Właśnie tak — pomyślał z nieokreślonym niesmakiem — przedstawia się

Londyn, siedziba Pasa Startowego Jeden, trzecia pod względem liczby ludności prowincja Oceanii. Usiłował przywołać jakieś wspomnienia z dzieciństwa, by uzmysłwić sobie, czy właśnie tak kiedyś wyglądał Londyn. Czy zawsze było to miasto walących się dziewiętnastowiecznych domostw, podpartych drewnianymi belkami, z oknami zaklejonymi tekturą, dachami połączanymi blachą falistą i ogródkami, których fikuśne ogrodzenia poprzecierały się na wszystkie strony? Miasto lejów po bombach spowitych wirującym w powietrzu gipsowym pyłem, gruzowisk oplecionych zieleń wierzbowicy i rozoranej wybuchami ziemi, na której wyrosły obskurne kolonie podobnych do kurników drewnianych ruder? Ale na próżno; niczego nie mógł wydobyć z zakamarków pamięci. Z dziecięcych wspomnień nie pozostało nic prócz sekwencji jasnych scen, w większości niezrozumiałych i niedających się z niczym powiązać.

Budynek Ministerstwa Prawdy, zwanego w nowomowie* Mini-prawdem, zdecydowanie różnił się od pozostałych budowli w okolicy. Była to gigantyczna konstrukcja w kształcie piramidy, wykonana z połyskliwego białego betonu i wznosząca się wielkimi stopniami na wysokość trzystu metrów. Z miejsca, w którym stał Winston, bez trudu można było odczytać trzy hasła Partii, starannie wymalowane na jasnej fasadzie:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

* Nowomowa była oficjalnym językiem Oceanii; jego struktura i etymologia zostały omówione w dodatku.

Mówiono, że w gmachu Ministerstwa Prawdy jest trzy tysiące pomieszczeń nad ziemią, pod nią zaś znajdują się równie rozległe kazamaty. W całym Londynie były tylko trzy inne także wielkie i podobnie wyglądające budynki. Do tego stopnia dominowały one nad otaczającymi je zabudowaniami, że z dachu Bloku Zwycięstwa dało się zobaczyć wszystkie cztery. Były siedzibami ministerstw, z których składał się aparat władzy: Ministerstwa Prawdy, sprawującego pieczę nad wiadomościami, rozrywką, oświatą i sztuką; Ministerstwa Pokoju, zajmującego się toczeniem wojny; Ministerstwa Miłości, dbającego o ład i porządek; oraz Ministerstwa Obfitości, odpowiedzialnego za sprawy gospodarcze. Ich nazwy w nowomowie brzmiały: Miniprawd, Minipax, Minimilo i Miniobfi.

Największą grozę budził gmach Ministerstwa Miłości. Nie miał ani jednego okna. Winston nigdy nie był w siedzibie tego ministerstwa ani choćby w promieniu pół kilometra od niego. Nie pozwalano tam wchodzić z powodów innych niż służbowe, a i wówczas trzeba było pokonać labirynt zasieków z drutu kolczastego, stalowych drzwi i ukrytych gniazd karabinów maszynowych. Nawet ulice prowadzące do jego zewnętrznych rubieży przemierzali umundurowani na czarno i uzbrojeni w policyjne pałki strażnicy o gorylich fizjonomiach.

Przywoławszy na twarz wyraz spokojnego optymizmu, jaki należało przyjąć, patrząc w stronę teleekranu, Winston odwrócił się raptownie, a potem przeszedł przez pokój do małej kuchni. Wychodząc z ministerstwa o tej porze dnia, zrezygnował z obiadu na stołowie, choć wiedział, że u siebie nie znajdzie nic do jedzenia,

jeśli nie liczyć kawałka ciemnego chleba, który musiał zostawić sobie na jutrzejsze śniadanie. Zdjął z półki butelkę bezbarwnego płynu, opatrzoną zwykłą białą etykietą z napisem „Gin Zwycięstwa”. Zawartość wydzielala mdły, oleisty zapach, kojarzący się z chińską wódką ryżową. Winston nalał prawie pełną szklankę, przygotował się na wstrząs i wypił ją jednym haustem, jak lekarstwo.

Jego twarz wnet spurpurowiała, a z oczu pociekły łzy. Trunek smakował jak kwas azotowy, a co gorsza, przełykając go, człowiek odnosił wrażenie, jakby oberwał gumową pałką w tył głowy. Chwilę później jednak pieczenie w brzuchu zelżało, a świat zaczął się jawić w przyjemniejszych barwach. Winston wyjął papierosa ze sfatygowanej paczki z napisem „Papierosy Zwycięstwa” i nieostrożnie chwycił go pionowo, wysypując tytoń na podłogę. Z następnym poszło mu lepiej. Wrócił do pokoju i usiadł przy niewielkim stoliku na lewo od teleekranu. Wyciągnął z szuflady obsadkę do stalówek, butelkę atramentu i czysty gruby notes w formacie kwarto, z czerwonym grzbietem i marmurkową okładką.

Z jakiegoś powodu teleekran w pokoju został zamontowany w nietypowy sposób. Zamiast, jak w każdym innym miejscu, znajdować się na ścianie bocznej, skąd obejmowałby swym zasięgiem całe pomieszczenie, wisiał na dłuższej ścianie, na wprost okna. Po jednej jego stronie znajdowała się płytki alkowa, w zamyśle architektów prawdopodobnie przeznaczona na biblioteczkę, w której tkwił teraz Winston. Siedząc w jej najgłębszym kącie, Winston pozostawał poza zasięgiem teleekranu, przynajmniej pod względem widoczności. Mógł być oczywiście słyszany, lecz dopóki siedział w tym właśnie miejscu, nie było go widać. Po części to za sprawą

nietypowego układu pomieszczenia wpadł na pomysł zrobienia tego, co właśnie uczynić zamierzał.

Pomysł ten podsunął mu zresztą sam notes, dopiero co wyjęty z szuflady. Był to zadziwiająco piękny zeszyt. Tak gładkiego, kremowego papieru, który nieznacznie pożółkł z upływem czasu, nie produkowano już od co najmniej czterdziestu lat, choć Winston snuł przypuszczenia, że notes jest znacznie starszy. Natknął się na niego na wystawie małego, zatęchłego sklepu z rupieciami, znajdującego się w obskurnej dzielnicy miasta (tylko nie mógł już sobie przypomnieć której), i od razu poczuł przemożną chęć posiadania go. Członkowie Partii mieli zakaz wchodzenia do zwykłych sklepów (podpadało to pod „handel na wolnym rynku”), lecz zasady tej nie przestrzegano zbyt surowo, ponieważ niektórych artykułów, takich jak sznurowadła czy żyłki, nie dało się dostać gdziekolwiek indziej. Winston rozejrzał się nerwowo po ulicy, a potem wślizgnął do wnętrza i kupił notes, płacąc zań dwa dolary i pięćdziesiąt centów. Wtedy nie wiedział jeszcze, w jakim konkretnie celu go nabywa. Niósł go do domu w teczce, przepełnionej poczuciem winy. Samo posiadanie notesu, nawet czystego, było podejrzone.

Winston zamierzał zacząć pisać pamiętnik. Wprawdzie nie było to zabronione (nic nie było zabronione, albowiem nie było już żadnych praw), lecz jeśli wyszłoby na jaw, mógł być właściwie pewien, że czeka go kara śmierci albo co najmniej dwadzieścia pięć lat ciężkich robót. Wetknął stalówkę do obsadki i poślinił, by ją oczyścić. Pióro było archaicznym narzędziem, rzadko używanym nawet do podpisywania się — zdobył je ukradkiem i nie bez

kłopotów — lecz po prostu czuł, że piękny kremowy papier zasługuje na to, by pisać po nim prawdziwą stalówką, zamiast skrobać kopiowym ołówkiem. Nie był przyzwyczajony do odręcznego pisania. Jeśli nie liczyć bardzo krótkich notatek, wszystko zwykle dyktowało się do głosopisu, czego ze zrozumiałych względów Winston nie mógł zrobić w tym konkretnym przypadku. Zanurzył stalówkę w atramencie i zawahał się. Przeszył go dreszcz. Naznaczenie papieru stanowiło punkt bez odwrotu. Drobnymi, niezgrabnymi literami napisał: **4 kwietnia 1984 roku**

Zrezygnowany, odchylił się na oparcie krzesła. Ogarnęło go poczucie całkowitej bezradności. Nie umiał nawet z całkowitą pewnością stwierdzić, czy rzeczywiście jest rok 1984. Jego domniemania wydawały się słuszne. Winston był niemal pewien, że ma trzydzieści dziewięć lat, a urodził się w 1944 albo 1945 roku; w tych czasach nie dało się jednak ustalić żadnej daty z dokładnością do roku czy dwóch.

Dla kogo — nagle przyszło mu do głowy — piszę ten pamiętnik? Dla przyszłości, dla potomności? Jego myśli krążyły przez chwilę wokół wątpliwej daty, a potem niespodziewanie potknęły się o jedno ze słów nowomowy: **dwójmyślenie**. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z wagi tego, czego się podjął. Jak można porozumiewać się z przyszłością? To z natury rzeczy niemożliwe. Przyszłość mogła albo przypominać teraźniejszość, a wówczas nie zechciałaby go wysłuchać, albo zupełnie się od niej różnić, wtedy zaś jego dzisiejsze rozterki byłyby dla niej niepojęte.

Przez pewien czas siedział, wpatrując się tępo w papier. Z teleekranu gruchnęła natarczywa, wojskowa muzyka. Winston zdumiał się, gdyż najwyraźniej nie tylko zatracił zdolność ekspresji, ale nawet zapomniał, co początkowo zamierzał napisać. Tygodniami sposobił się do tej chwili i ani razu nie przeszło mu przez myśl, że będzie potrzebował czegokolwiek prócz odwagi. Samo pisanie miało być proste. Wystarczyło przenieść na papier niekończący się niespokojny monolog, który rozbrzmiewał w jego głowie od lat. Teraz jednak nawet ów monolog ucichł. Co gorsza, wrzodziejące żylaki zaczęły nieznośnie swędzieć. Nie odważył się podrapać, gdyż ilekroć to robił, zawsze wdawało się zakażenie. Mijały sekundy. Nie zdawał sobie sprawy z niczego poza pustką papieru, swędzeniem skóry nad kostką, grzmiącą muzyką i lekkim rauszem po wypitym ginie.

Nagle w przypływie czystej paniki zaczął pisać, nie w pełni świadomy kreślonych słów. Jego drobne, dziecinne pismo pokrywało kartkę od góry do dołu, najpierw gubiąc tylko wielkie litery, a potem także przecinki:

4 kwietnia 1984 roku. Wczoraj wieczorem byłem w kinie. Same kroniki wojenne. Jedna znakomita, o statku pełnym uchodźców, zbombardowanym gdzieś na Morzu Śródziemnym. Widownię bardzo rozbawiła scena z wielkim grubasem, który próbował uciec wpław przed helikopterem. najpierw pokazali go szamoczącego się w wodzie jak morświn, potem przez celowniki helikoptera, a potem podziurawionego jak rzeszoto, morze wokół rozkwitło czerwienią, a on poszedł pod wodę tak nagle, jakby nabrał jej przez te wszystkie dziury. widzowie zanosili się śmiechem, gdy tonął. a potem pokazali szalupę ratunkową pełną dzieci, nad którą

unosił się helikopter. na dziobie szalupy siedziała kobieta w średnim wieku, może żydówka, z małym, na oko trzyletnim chłopcem w ramionach. chłopiec krzyczał z trwogi i krył głowę między jej pierśiami, jakby próbował się w niej zagrzebać a ona obejmowała go i pocieszała choć sama była śina ze strachu. przez cały czas osłaniała go jak tylko mogła jakby myślała że jej ręce mogą powstrzymać kule. a potem śmigłowiec zrzucił na nich dwudziestokilową bombę straszliwy błysk i cała łódź poszła w drzazgi. a potem było genialne ujęcie dziecięcej rączki, która wystrzeliła w górę, wysoko, a śmigłowiec z kamerą na dziobie najpewniej musiał to filmować i z miejsc gdzie siedzieli partyjni rozległ się głośny aplauz tylko jedna kobieta niżej w sektorze dla proli nagle zaczęła się awanturować i wydzierać że nie powinni tego pokazywać dzieciom że dzieci nie mogą oglądać takich rzeczy że nie wolno i nie wolno aż pojawiła się policja i ją zabrała nie sądzę żeby cokolwiek jej zrobili nikogo nie obchodzi co mówią prole typowa prolska reakcja oni nigdy...

Winston przerwał pisanie, po części dlatego, że złapał go skurcz. Nie wiedział, co skłoniło go do wylania z siebie tych bredni. Co ciekawe jednak, kiedy to robił, wspomnienie zupełnie innego zdarzenia pojawiło się w jego umyśle z taką klarownością, że niemal poczuł się na siłach, by przenieść je na papier. Uzmysłował sobie, że właśnie to zdarzenie skłoniło go do przedwczesnego powrotu do domu i rozpoczęcia pisania pamiętnika właśnie dziś.

Wydarzyło się to tego dnia rano w ministerstwie, jeśli o czymś tak mglistym można w ogóle powiedzieć, że się wydarza.

Zbliżała się punkt jedenasta i w Departamencie Archiwów, gdzie pracował Winston, wynoszono z boksów krzesła i ustawiano je pośrodku sali, naprzeciwko dużego teleekranu, przygotowując się do Dwóch Minut Nienawiści. Winston zajmował właśnie swoje miejsce w jednym ze środkowych rzędów, gdy na salę nieoczekiwanie weszły dwie osoby. Znał je z widzenia, lecz nigdy z nimi nie rozmawiał. Jedną z nich była dziewczyna, którą często mijał w korytarzach. Nie kojarzył jej imienia, wiedział jednak, że pracowała w Departamencie Literatury. Ponieważ widywał ją z upaakowanymi smarem dłońmi i kluczem francuskim, podejrzewał, że wykonuje jakąś techniczną robotę przy maszynach powieściopisańskich. Sprawiała wrażenie śmiałej, miała mniej więcej dwadzieścia siedem lat, gęstwinę ciemnych włosów, piegowaną buzię i szybkie, wysportowane ruchy. Wąska czerwona szarfa — symbol Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej — którą kilkakrotnie owinęła wokół talii, podkreślała kształt jej bioder skrytych pod roboczym kombinezonem. Winston nie lubił jej od pierwszego wejrzenia. I dobrze wiedział z jakiego powodu. Chodziło o otaczającą ją aurę rozgrywek hokejowych, zimnych kąpiei, pieszych wędrówek i ogólnej prawidłowości. Właściwie to żywił antypatię do niemal wszystkich kobiet, zwłaszcza młodych i ładnych. Zwykle to one bowiem, a w szczególności te młode, były najzarliwzszymi zwolenniczkami Partii, bezkrytycznie łykały jej hasła, szpiclowały i węszyły za wszelkimi przejawami niesubordynacji. Ale ta konkretna dziewczyna wywarła na nim wrażenie groźniejszej niż inne. Pewnego razu, gdy mijali się na korytarzu, posłała mu z ukosa szybkie spojrzenie, które zdawało się świdrować go na wylot i przez chwilę napełniło panicznym strachem. Przemknęło mu nawet przez głowę, że może być agentką Policji Myśli. To jednak, jak wiedział,

było wielce nieprawdopodobne. Mimo to, ilekroć pojawiała się w pobliżu, nadal odczuwał dziwny niepokój, będący mieszaniną strachu i wrogości.

Drugą osobą był człowiek o nazwisku O'Brien, należący do Partii Wewnętrznej, gdzie piastował stanowisko tak ważne i wysokie, że Winston miał jedynie mgliste pojęcie o jego naturze. Na widok czarnego uniformu członka Partii Wewnętrznej zgromadzeni przy rzędach krzeseł ludzie na chwilę umilkli. O'Brien był potężnym, krępkim mężczyzną o grubej szyi i szorstkim, marsowym, kanciastym obliczu. W jego wyglądzie, choć budzącym respekt, dawało się jednak dostrzec specyficzny czar. O'Brien miał rozbijający i w nieokreślony sposób dziwnie cywilizowany odruch poprawiania okularów na nosie. Był to gest, który — gdyby ktoś wciąż jeszcze myślał w takich kategoriach — mógł się kojarzyć z osiemnastowiecznym szlachcicem częstującym gości tabakierą. Winston widział O'Briena może kilkanaście razy na przestrzeni tyluż lat. Coś w tym człowieku go frapowało i nie chodziło tylko o intrygujący kontrast między wytwornymi manierami a bokserką sylwetką. Wynikało to raczej ze skrytego przekonania — albo nawet nie z przekonania, lecz zaledwie nadziei — że polityczna poprawność O'Briena nie jest doskonała. Było w jego twarzy coś, co nieodparcie nasuwało takie skojarzenia. A może z tych rysów wзираła nie tyle polityczna nieortodoksja, ile po prostu inteligencja. W każdym razie sprawiał wrażenie człowieka, z którym można byłoby szczerze porozmawiać, gdyby tylko udało się oszukać teleekrany i przyłapać go na osobności. Winston nigdy nie podjął nawet najmniejszych starań w celu zweryfikowania swoich podejrzeń; tak naprawdę zresztą nie było na to sposobu. O'Brien

zerknął na zegarek i spostrzegłszy, że dochodzi jedenasta, najwyraźniej postanowił zostać w Departamencie Archiwów na Dwie Minuty Nienawiści. Zajął miejsce w tym samym rzędzie co Winston, dwa krzesła dalej. Dzieliła ich drobna płowowłosa kobieta, która pracowała w boksie obok Winstona. Dziewczyna o ciemnych włosach usiadła tuż za nimi.

Chwilę później z wielkiego teleekranu na końcu sali rozległ się okropny, zgrzytliwy jazgot, przywodzący na myśl dźwięki wydawane przez potworną, nienaoliwioną maszynę. Był to odgłos, od którego bolały zęby i włosy jeżyły się na karku. Zaczęła się Nienawiść.

Na ekranie, jak zwykle, pojawiła się twarz Emmanuela Goldsteina, Wroga Ludu. Tu i ówdzie wśród widzów rozległy się posykiwania. Drobna płowowłosa kobieta zapiszczała ze strachu i obrzydzenia. Goldstein był renegatem i odszczepieńcem, który dawno, dawno temu (nikt nie pamiętał już jak dawno) stał się jednym z czołowych prominentów Partii, prawie na równi z samym Wielkim Bratem, lecz potem zaangażował się w działalność wywrotową, został skazany na śmierć i w tajemniczych okolicznościach uciekł, a słuch po nim zaginął. Program Dwóch Minut Nienawiści zmieniał się każdego dnia, lecz niezmiennie to Goldstein grał w nim główną rolę. Był ucieleśnieniem zdrady, pierwszym, który splugawił czystość Partii. Wszystkie późniejsze zbrodnie przeciwko Partii, wszelkie zdrady, akty sabotażu, herezje i wypaczenia miały źródło w jego naukach. Gdzieś, nie wiadomo gdzie, wciąż żył i knuł swoje intrygi; może za oceanem, pod ochroną zagranicznych mocodawców; a może nawet — jak się niekiedy spekulowało — ukrywał się w samej Oceanii.

Winston poczuł ucisk w dołku. Twarz Goldsteina zawsze wzbudzała w nim boleśnie sprzeczne emocje. Było to smagłe żydowskie oblicze, otoczone bujną aureolą kędzierzawych siwych włosów i zwieńczone drobną kozią bródką — bystre, a jednak na swój sposób irytujące, z domieszką starczego zdziennienia, którego wyraz stanowiły okulary zatknięte na końcu długiego, wąskiego nosa. Przypominało pysk barana, a i głos miał w sobie coś z beczenia. Goldstein jak zawsze zjadliwie atakował doktryny Partii — robił to tak przesadnie i bałamutnie, że nawet dziecko powinno przejrzeć jego zamiary, a jednak na tyle wiarygodnie, by wzbudzić w człowieku niepokojące wrażenie, iż niektórzy mniej trzeźwo myślący mogą się dać na to nabrać. Oczerniał Wielkiego Brata, potępiał dyktaturę Partii, domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją, opowiadał się za wolnością słowa, prasy, zgromadzeń i myśli; pisał histerycznie, że idea rewolucji została wypaczona — a wszystko to w wyrzucanych z ogromną szybkością, wielosylabowych słowach będących swoistą parodią zwyczajowego stylu partyjnych prelegentów, przeplatanych nawet terminami zaczerpniętymi z nowomowy; ba, nowomowa w jego wypowiedziach pojawiała się częściej niż u jakiegokolwiek członka Partii w codziennych rozmowach. Przez cały ten czas, aby rozwiać wszelkie wątpliwości co do realiów, jakie miał przysłonić zwodniczy stek bzdur Goldsteina, na teleekranie za jego głową maszerowały niekończące się kolumny wojsk Eurazji — krzepcy mężczyźni o pozbawionych wyrazu azjatyckich rysach szereg za szeregiem docierali do krawędzi ekranu i znikali za nią, a na ich miejsce pojawiali się następni, identyczni. Głuchy, rytmiczny tupot żołnierskich butów stanowił tło dla beczącego głosu Goldsteina.

Nie minęło nawet pół minuty Nienawiści, gdy z gardeł połowy zgromadzonych na sali ludzi zaczęły się wydobywać niekontrolowane okrzyki wściekłości. Widok zadowolonej z siebie baraniej twarzy na tle przerażającej potęgi euroazjatyckiej armii okazał się nie do zniesienia; poza tym samo spojrzenie na Goldsteina czy nawet myśl o nim automatycznie wzbudzały lęk i furję. Był obiektem nienawiści trwalszym niż Eurazja czy Wschódazja, ponieważ gdy Oceania toczyła wojnę z jednym z tych mocarstw, zwykle zawierała pokój z drugim. Zdziwienie budził jednak fakt, że choć Goldstein był nienawidzony i pogardzany przez wszystkich; choć każdego dnia po tysiącokroć, z trybun i teleekranów, w gazetach i w książkach, obalano, miażdżono i wyśmiewano jego teorie, ukazując ogółowi ich żalostną istotę — pomimo tego wszystkiego jego wpływ zdawał się nie słabnąć. Zawsze znajdowali się nowi naiwni, którzy dawali się złapać na lep jego słów. Nie było dnia, by Policja Myśli nie demaskowała szpiegów i sabotażystów działających z jego inicjatywy. Był dowódcą wielkiej, tajnej armii, podziemnej sieci konspiratorów, którzy sprzysięgli się, by obalić władzę. Ponoć nazywała się Bractwem. Szeptano też o straszliwej książce Goldsteina, kompendium jego herezji, krążącej potajemnie w drugim obiegu. Nie miała tytułu. Kiedy już o niej mówiono, nazywano ją po prostu **KSIĘGA**. Ale takie rzeczy znało się tylko z niejasnych plotek. Żaden szeregowy członek Partii nawet nie wspominał o Bractwie ani o **KSIĘDZE**, jeśli tylko można było tego uniknąć.

W drugiej minucie Nienawiść przerodziła się w szal. Ludzie zrywali się ze swoich miejsc i krzyczeli ile sił w płucach, próbując zagłuszyć nieznośne beczenie płynące z teleekranu. Drobną płowłosą kobietą zaczerwieniła się na twarzy, a jej usta otwierały się





i zamykały niczym pyszczek wyrzuconej na brzeg ryby. Nawet na kamienne oblicze O'Briena wystąpił rumieniec. Mężczyzna tkwił na krześle wyprostowany jak struna, a jego potężna klatka piersiowa unosiła się i drżała, jakby opierał się naporowi fali. Siedząca za Winstonem dziewczyna o ciemnych włosach zaczęła krzyczeć: „Świnia! Świnia! Świnia!”, a potem nagle złapała grubą słownik nowomowy i cisnęła nim w ekran. Trafił Goldsteina w nos i odbił się; głos rozbrzmiewał nieubłagane. W przeblasku przytomności umysłu Winston zorientował się, że krzyczy wraz z innymi i gwałtownie kopie piętą w poprzeczkę krzesła. Najstraszniejsza w Dwóch Minutach Nienawiści była nie sama konieczność takiego zachowania, lecz niemożność odcięcia się od tłumu. Niezawodnie wystarczało trzydzieści sekund, by nie trzeba było niczego udawać. Ohydna ekstaza strachu i mściwości, pragnienie zabijania, torturowania, rozbijania twarzy młotem — całość zdawała się przepływać przez grupę jak elektryczny wstrząs, przeistaczając każdego, nawet wbrew jego woli, w wynaturzonego, ryczącego szaleńca. Niemniej wściekłość ta sprowadzała się do abstrakcyjnej, nieukierunkowanej emocji, którą można było skupić raz na jednym, raz na innym obiekcie, niczym płomień lampy lutowniczej. Dlatego w pewnych chwilach nienawiść Winstona w ogóle nie mierzyła w Goldsteina, lecz wręcz przeciwnie — w Wielkiego Brata, Partię i Policję Myśli, a w takich przeblaskach był całym sercem z samotnym, opluwany heretykiem z ekranu, jedynym strażnikiem prawdy i zdrowego rozsądku w zakłamanym świecie. Mimo to sekundę później znów identyfikował się z otaczającymi go ludźmi i wszystko, co mówiono o Goldsteinie, zdawało mu się prawdą. Wtedy jego tajone obrzydzenie do Wielkiego Brata przemieniało się w uwielbienie, a przywódca wyrastał na niezwykłego,

nieustraszonego obrońcę, niewzruszonego niczym skała, o którą rozbijają się azjatyckie hordy. Goldstein zaś, pomimo osamotnienia, bezsilności i zwątpienia, przenikających całe jego istnienie, sprawiał wrażenie złowrogiego czarownika, zdolnego samą mocą swego głosu zburzyć fundamenty cywilizacji.

Czasami dawało się nawet świadomie zwrócić swą nienawiść w tę czy inną stronę. Nagle gwałtownym wysiłkiem, podobnym temu, z jakim człowiek odrywa głowę od poduszki, chcąc otrząsnąć się z koszmaru, Winstonowi udało się przekierować wrogość z wyświetlanej na ekranie twarzy na ciemnowłosą dziewczynę, którą miał za sobą. Przez jego głowę przemknęły wspaniałe, barwne wizje. Tłucze ją na śmierć gumową pałką. Przywiązuje nagą do pala i szpikuje strzałami, jak uczyniono to świętemu Sebastianowi. Gwałci ją i podrzyna gardło, jednocześnie szczytując. Co więcej zaś, dobitniej niż kiedykolwiek uświadomił sobie, dlaczego jej nienawidzi. Nienawidził jej, ponieważ była młoda, ładna i aseksualna; bo pragnął iść z nią do łóżka, nie mając szans na ziszczenie swego marzenia, jej krągłe kształty bowiem, które zdawały się błagać, by opleść je ramionami, oplatała wyłącznie odrażająca czerwona szarfa, jaskrawy symbol seksualnej ascezy.

Nienawiść osiągnęła apogeum. Głos Goldsteina przemienił się w autentyczne beczenie, a jego twarz na mgnienie oka przybrała barani wygląd. Później zwierzęcy pysk płynnie ustąpił miejsca sylwetce eurazjatyckiego żołnierza, który zbliżał się, potężny i straszliwy, z grzmiącym pistoletem maszynowym, nieledwie wychodząc z ekranu, aż niektórzy ludzie z pierwszego rzędu odskoczyli do tyłu na swych krzesłach. W tej samej chwili jednak,

ku gremialnemu westchnieniu ulgi, wrogą figurę zastąpiła twarz Wielkiego Brata, otoczona czarnymi włosami, czarnowąsą, emanująca potęgą, zagadkowym spokojem i tak wielka, że wypełniała niemal cały ekran. Nikt nie słyszał, co powiedział Wielki Brat. Było to zaledwie kilka słów otuchy — słów, jakie padają w zgiełku bitwy, niedających się zrozumieć z osobna, lecz przywracających wiarę tylko dzięki temu, że zostały wypowiedziane. A potem wizerunek Wielkiego Brata ponownie zbladł, a jego miejsce zajęły trzy slogany Partii, wypisane grubymi, dużymi literami:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ TO NIEWOLA
IGNORANCJA TO SIŁA

Oblicze Wielkiego Brata majaczyło jeszcze przez kilka sekund, jakby wrażenie, z jakim odcisnął się na oczach zebranych, było zbyt silne, by dało się je od razu zapomnieć. Drobną płowowłosa kobieta wyskoczyła przed siebie, wyciągając ręce w stronę ekranu, nad oparciem stojącego przed nią krzesła. Drżącym szeptem wypowiedziała słowa, które brzmiały jak „Mój zbawiciel!”, a potem skryła twarz w dłoniach. Wyglądało to tak, jakby się modliła.

Naraz tłum zaczął donośnie, rytmicznie skandować: „Wu-Be!... Wu-Be!... Wu-Be...!”, raz po raz, bardzo wolno, z długą przerwą między „Wu” a „Be” — był to ciężki, przesycony specyficzną dziłością pomruk, w tle którego niemal dało się słyszeć tupot bosych stóp i pulsujące bębnienie tam-tamów. Trwało to jakieś pół minuty. Ta inkantacja często rozbrzmiewała, gdy emocje wymykały się spod kontroli. W pewnym stopniu była rodzajem hymnu na

cześć mądrości i majestatu Wielkiego Brata, w większym jednak stanowiła akt autohipnozy, celowego topienia świadomości w morzu rytmicznych dźwięków. Winstona zdjął błądy strach. Podczas Dwóch Minut Nienawiści bezwolnie poddawał się ogólnemu obłądowi, lecz to pierwotne skandowanie „Wu-Be...! Wu-Be...!” zawsze napawało go przerażeniem. Oczywiście krzyczał wraz z innymi; nie sposób było postąpić inaczej. Instynktowną reakcją było maskowanie uczuć, panowanie nad mimiką, robienie tego co pozostali. Ale przez tych kilka nieuważnych chwil spojrzenie mogło go zdradzić. I właśnie wtedy wydarzyło się coś istotnego — jeśli rzeczywiście się wydarzyło.

Niespodziewanie jego wzrok uchwycił spojrzenie O'Briena. O'Brien stał. Wcześniej zdjął okulary i teraz nakładał je na nos charakterystycznym gestem. Lecz w owym ułamku sekundy, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, przez to mgnienie oka, Winston wiedział — tak, **wiedział!** — że O'Brien czuje to samo co on. To było dla niego oczywiste. Zupełnie jakby otwarłszy swoje umysły, wymieniali myśli za pośrednictwem oczu. „Jestem z tobą — здаwał się mówić mu O'Brien. — Doskonale wiem, co czujesz. Wiem wszystko o twojej pogardzie, nienawiści, odrazie. Ale nie martw się, jestem po twojej stronie!”. A potem kontakt się urwał, a twarz O'Briena stała się równie nieprzenikniona co twarze innych.

I tak się to skończyło, a po wszystkim Winston nie był pewien, czy rzeczywiście go to spotkało. Takie sytuacje nigdy nie miały dalszego ciągu. Podsycaly tylko jego wiarę, a może raczej nadzieję, że nie jest jedynym wrogiem Partii. Może w pogłoskach o rozległej siatce podziemnej konspiracji tkwiło ziarno prawdy — może Bractwo

faktycznie istniało! Bo przecież pomimo niezliczonych aresztowań, zeznań i egzekucji nie dało się wykluczyć, że Bractwo było tylko mitem. Zdarzały się dni, gdy w nie wierzył, kiedy indziej znów nie. Nie miał żadnych dowodów, jedynie ulotne poszlaki, które mogły znaczyć wszystko albo nic: urywek podsłuchanej rozmowy, niewyraźne bazgroły na ścianach publicznych toalet, a raz nawet wymieniony między dwoma nieznajomymi subtelny gest mogący stanowić znak rozpoznawczy. Były to jednak ledwie domysły; najpewniej wszystko to sobie wyobraził. Wrócił do swojego boksu, unikając wzrokiem O'Briena. Szybko odrzucił pomysł kontynuowania przelotnego kontaktu. Byłoby to nad wyraz ryzykowne, nawet gdyby wiedział, jak się do tego zabrać. Przez sekundę czy dwie wymieniali dwuznaczne spojrzenia — i na tym koniec. Ale w izolacji jego marnej egzystencji i taki drobiazg okazał się godnym zapamiętania zajściem.

Winston ocknął się z zamyślenia i wyprostował. Czknął głośno. Gin wzbierał mu w żołądku.

Ponownie spojrzął na notes. Odkrył, że w trakcie bezsilnych rozmyślań pisał jakby wiedziony odruchem. I nie było to już tamto ścieśnione, niezgrabne pismo co wcześniej. Pióro zmysłowo sunęło po gładkim papierze, kreśląc duże, schludne litery:

PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM

raz za razem, na połowę strony.

Przeszył go niepohamowany lęk. Niedorzeczny, ponieważ nakreślenie tych konkretnych słów nie było bardziej niebezpieczne niż samo rozpoczęcie pisania; przez chwilę kusiło go, by wyrwać zbezczeszczone kartki i odstąpić od całego zamysłu.

Nie uczynił tego jednak, wiedząc, że to bezcelowe. Nie miało znaczenia, czy napisał **PRECZ Z WIELKIM BRATEM**, czy tego nie zrobił. Nieistotne było także to, czy będzie dalej pisać pamiętnik. Policja Myśli dopadnie go i tak. Popełnił — i popełniłby nawet wtedy, gdyby nie napisał ani słowa — podstawową zbrodnię, która zawierała w sobie wszystkie inne. Nazywano ją myśłozbrodnią. Myśłozbrodni nie dało się zataić na zawsze. Mogłeś ukrywać się przez jakiś czas, nawet latami, lecz wcześniej czy później cię dopadali.

Działo się to zawsze nocą — aresztowań dokonywano tylko nocami. Nagle wyrywano cię ze snu, bezlitosna dłoń szarpała za ramię, świecono latarkami po oczach, a łóżko otaczał kordon bezdusznych postaci. W większości przypadków obywateli się bez sądu i raportu o aresztowaniu. Ludzie po prostu znikali, wyłącznie pod osłoną nocy. Nazwisko usuwano z rejestrów, wymazywano wszelkie ślady twojej działalności, twoją doczesną egzystencję negowano, a potem ulegała zapomnieniu. Byłeś kasowany, unicestwiany; zwykło się mówić: **ewaporowany**.

Nagle, w przypływie koszmarniej histerii, zaczął gorączkowo kreślić niezgrabne, pospieszne słowa:

zastrzelą mnie wszystko mi jedno strzelą mi w tył głowy wszystko mi jedno precz z wielkim bratem zawsze strzelają w tył głowy wszystko mi jedno precz z wielkim bratem...

Trochę wstydząc się samego siebie, osunął się na oparcie krzesła i odłożył pióro. I momentalnie podskoczył jak oparzony. Ktoś pukał do drzwi.

Tak szybko?! Siedział cicho jak mysz pod miotłą, żywiąc płonną nadzieję, że ów ktoś zrezygnuje po pierwszej próbie. Ale nie, pukanie się powtórzyło. Najgorsze, co mógłby zrobić, to zwlekać. Serce waliło mu jak młotem, lecz jego wytresowana długotrwałym nawykiem twarz zapewne nie wyrażała niczego. Wstał i ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi.



All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji. Wydawca dołożył wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie bierze jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Wydawca nie ponosi również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Kup książkę
Poleć książkę
Oceń książkę

Księgarnia internetowa
Lubię to! » Nasza społeczność

Tytuł oryginału: **NINETEEN EIGHTY-FOUR**

Tłumaczenie: **OLGA KWIECIEŃ**

Korekta językowa: **JAROSŁAW KACORZYK,
MAGDALENA TYTUŁA (M.T. MEDIA)**

Kierownik projektu: **JAROSŁAW STOLARCZYK**

Ilustracje / ilustracja okładkowa: **MICHAŁ WRĘGA „SEPE”**

Projekt graficzny / skład: **EWA JAROCKA**

DROGI CZYTELNIKU!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

wydawnictwosploty.pl/user/opinie/rok198

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

HELION S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@wydawnictwosploty.pl

WWW: wydawnictwosploty.pl

ISBN: 978-83-283-7936-7

POLISH EDITION COPYRIGHT © 2025 BY HELION S.A.

PRINTED IN POLAND

Kup książkę
Poleć książkę
Oceń książkę

Księgarnia internetowa
Lubię to! » Nasza społeczność

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

GEORGE ORWELL I JEGO DZIEŁA NIEODMIENNIE ZADZIWIĄJĄ
CZYTELNIKÓW, A OPUBLIKOWANA PO RAZ PIERWSZY W 1949 ROKU
POWIEŚĆ **ROK 1984** OKAZAŁA SIĘ IŚCIE PROROCZA. PONAD TRZY
CZWARTE STULECIA PÓŹNIEJ — W ŚWIECIE WSPIERANYCH PRZEZ
RZĄDY KAMPANII DEZINFORMACJI, FAŁSZYWYCH WIADOMOŚCI,
HISTERII W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH I POWSZECHNEGO
SPOŁECZNEGO ZAMĘTU — NOWE WYDANIE ARCYDZIEŁA ORWELLA
W RZETELNYM PRZEKŁADZIE MOŻNA JEDYNIE PRZYWITAĆ
Z OTWARTYMI RAMIONAMI.

— **NORMAN DAVIES**



wydawnictwoploty.pl

ISBN 978-83-283-7936-7



9 788328 379367

cena 49,90 zł